

Wewnątrz Gazy

22 grudnia 2010

Zachowuję poczucie obowiązku, a walka Palestyńczyków nie jest dla mnie martwą abstrakcją, gdyż doładowuję co jakiś czas swe baterie moralne, spotykając się z żywymi ludźmi żyjącymi pod okupacją i spoglądając z bliska na trwającą tragedię. Z dokładnie każdej takiej podróży przywożę ze sobą ponure obrazy, zapadające głęboko w pamięć i nie pozwalające wątpić, po której stronie stanąć. Gdy wspomnienia bledną, czuję, że czas powrócić.

W czerwcu 2009 r. – 6 miesięcy po inwazji – dołączyłem zatem do delegacji, która wybrała się z krótką wizytą do Gazy. Byłem w Gazie już wcześniej, choć większość czasu, jaki spędziłem w regionie, zajęły mi podróże z przyjaciółmi na Zachodni Brzeg. Izrael obłożył mnie dziesięcioletnim zakazem wstępu na swe terytorium – podobno stanowią zagrożenie dla „bezpieczeństwa” – co oznacza dla mnie również niemożność dostania się na Zachodni Brzeg. W edytoriale Haaretz, zatytułowanym „Kto się boi Finkelsteina?”, postawiono pod znakiem zapytania przyczyny tego zakazu: „Biorąc pod uwagę jego niecodzienne i skrajnie krytyczne poglądy, nie sposób nie podejrzewać, że obłożono go zakazem wstępu do Izraela nie ze względu na środki ostrożności, lecz po to, by go ukarać”. W ten sposób protestowano przeciw temu zakazowi. Nie mogę mieć jednak pewności, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzę mych palestyńskich przyjaciół – a jeśli tak, to kiedy. Póki co, dotarłem przez Egipt do Gazy, dzięki czemu miałem możliwość na miejscu przekonać się, co zaszło.

Tuż wcześniej przez kilka miesięcy studiowałem dzieła zebrane Mahatmy Gandhiego, i byłem pod głębokim wrażeniem jego pragnienia, by żyć życiem spauperyzowanych mas. Postanowiłem więc znosić niewygody w Gazie – ale to łatwiej powiedzieć niż zrobić. Podobnie jak część innych delegatów, zrezygnowałem z zamieszkania w hotelu i postanowiłem żyć razem z rodziną

palestyńską. Kilku młodych Palestyńczyków, w wystrzałowych ubraniach, z włosami ułożonymi na żel i wyperfumowanych do niemożliwości wodą kolońską, spotkało się z naszą grupą w celu wyznaczenia kwaterunku. Pierwszy odszedł z młodą kobietą z naszej delegacji, drugi z kolejną, trzeci z jeszcze następną – aż późnym wieczorem jedynymi czekającymi na kwaterunek byli mężczyźni w średnim wieku. Udaliśmy się do hotelu.

Nie mogę powiedzieć, by obraz wszechobecnego spustoszenia w Gazie szczególnie mnie zaszokował. Podczas pierwszej intifady spędziłem czas na Zachodnim Brzegu z rodzinami, które żyły w namiotach na gruzach swych dawnych posiadłości. Izrael rutynowo wysadzał w środku nocy miejsca zamieszkania rodzin rzekomych działaczy, dając im wcześniej po kilka minut na ewakuację. Niedługo po wojnie w 2006 r. odwiedziłem Liban. Na południu wiele wiosek zostało zrównanych z ziemią. Dzielnica Dahija w Bejrucie przywodziła na myśl fotografie zbombardowanych miast z okresu II wojny światowej: w miejscach, gdzie niegdyś stały domy mieszkalne i biurowe, pozostały wielkie kratery, czasem tylko gdzieś w oddali zamajaczył trup budynku. Jestem więc częściowo uodporniony na sposób, w jaki Izrael traktuje swych arabskich sąsiadów.

Niemniej podczas wizyty w Gazie ujrzałem kilka obrazów, które zapadły mi w pamięć ze szczególną mocą. Pamiętam 11-letnią dziewczynkę w okularach o mocnych szklach, która zatrzymała się przy ruinach Amerykańskiej Szkoły Międzynarodowej, wodząc po nich wzrokiem. Wspaniała angielszczyzną (jej ojciec był lekarzem, a koledzy z klasy uważali ją za prymuskę) wspominała tęsknie swą szkołę, którą uważała za najlepszą w całej Gazie. Pamiętam również dobrze ten wieczór, gdy spotkaliśmy się z przedstawicielami rządu w namiocie rozbitym niedaleko od miejsca, w którym mieścił się wcześniej budynek parlamentu, dziś zaś pozostała jedynie kupa dymiących gruzów. Choć owo spustoszenie miało oznaczać nie tylko zwycięstwo nad Hamasem, lecz również jego upokorzenie, przedstawiciele władz nie czuli wcale ujmy na godności, gdy zebrali się w tych spartańskich

warunkach. Ciągłe też mam przed oczami wielką prostokątną wyrwę w samym sercu Uniwersytetu Islamskiego, pozostałą po budynku wydziału nauki i techniki. Jego administrator wspominał z dumą, choć i z odcieniem melancholii, że tuż przed atakiem uniwersytet zainstalował w budynku stanowiący cud techniki sprzęt, służący badaniom biologicznym.

Nie spotkałem żadnego Palestyńczyka, który demonstrowałby gniew czy smutek z powodu tych wydarzeń. Choć w wyniku blokady izraelskiej ludzie wciąż żyli w ciężkich warunkach, to najwyraźniej starali się odbudować rzeczywistość sprzed inwazji. Którejś nocy młoda odziana w hidżab przewodniczka, siedząca w autobusie naprzeciw mnie, wspominała, że ostatniego dnia inwazji zginął jej narzeczony, i przerwała wpatrując się niemymi, suchymi oczami w mych wychowanków. Nie było w tym oskarżenia ani prośby o współczucie. Tak jakby regularne spustoszenie, powodowane przez Izrael, stanowiło katastrofę naturalną, do której ludzie zdolali przywyknąć. Taki już widać los Gazy, że wybudowano ją na trasie tornad, przy czym tornado przychodzi tu wraz z każdym następstwem pór roku. Gdzieś w klimatyzowanym biurze w Tel Awiwie jakiś zwichrowany umysł niedoszłego poety wymyśla coraz to nowe nazwy dla niezliczonych „operacji”. W tej kampanii reklamowej przydałoby się jednak nieco prawdy – więc chyba można zaproponować kryptonimy „Operacja Attyła Wódz Hunów”, „Operacja Czyngis-Chan” czy „Operacja Armia Wandali”.

Odwiedziłem bibliotekę dziecięcą, mieszczącą się w potężnym gmachu, którego mogłoby pozazdrościć dowolne z głównych miast w Stanach Zjednoczonych. Patrzyłem na dzieci pogrążone w lekturze i odetchnąłem z ulgą, że placówka ta nie podzieliła losu Amerykańskiej Szkoły Międzynarodowej – może dlatego, że nie znalazła się na liście celów, a może dlatego, że stał się cud. Główna kierowniczka podzieliła się ze mną paroma bolesnymi refleksjami. Była jedną z siedmiorga rodzeństwa, z którego wszyscy otrzymali wysokie tytuły naukowe, lecz tylko ona jedna nie wyjechała za granicę za chlebem. Studiowała w

Wielkiej Brytanii, lecz wbrew namowom rodziców postanowiła powrócić. Przypomniała sobie, jak mówiono jej, że źle postąpiła, gdy któregoś dnia w drodze do pracy musiała wejść po pas w bagno, ażeby żołnierze pozwolili jej przejść posterunek.

Większość naszej delegacji stanowili Amerykanie. Początkowo myślałem, że jestem w tym towarzystwie jedynym Żydem, dyskretnie rozejrzałem się jednak i zacząłem zastanawiać, czy przypadkiem w składzie delegacji nie ma jeszcze kogoś żydowskiego pochodzenia. Z doświadczenia wiem, że mieszkańców Gazy mało obchodzą drzewa genealogiczne, choć – ku mojemu zmartwieniu – rektor Uniwersytetu Islamskiego przedstawił mnie jako „ocalałego z Holokaustu”. Uprzejmie go poprawiłem: „ocalały z walki o tytuł naukowy”. Czy naprawdę wyglądam, jakbym miał 90 lat?!

Hamas ma okropną reputację, ale kierujące naszą delegacją wojujące feministki nie omieszkały stawić mu czoła. Otwarcie wyraziły szereg zastrzeżeń, w tym to, że Hamas nie zapewnił delegatom i delegatkom dostatecznej wolności poruszania się w nocy. Choć Hamas w końcu dał za wygraną, zyskał moją sympatię, i to nie tylko dlatego, że w tych słownych utarczkach rozkładał swe przeciwniczki na łopatki. W Gazie trudno szukać tętniącego nocnego życia. Ponadto każdej nocy ostrzeliwały ją okręty izraelskie, Hamas zaś obawiał się, że Izrael (bądź jego palestyńskie sługusy) postara się o incydent w celu zdyskredytowania tego ugrupowania. Nie można powiedzieć, by owe obawy Hamasu w kwestii bezpieczeństwa były wydumane: byliśmy wszak Amerykanami, a w represje wymierzone w Hamas zamieszane są przecież agencje wywiadowcze Stanów Zjednoczonych.

Odbyłem kilka spotkań z władzami i członkami kadr Hamasu. Przekazano mi potem, że uczestniczyłem głównie w spotkaniach z przedstawicielami „umiarkowanego” skrzydła Hamasu, choć trudno mi powiedzieć, cóż takiego różni ich od „twardogłowych”. Wiele spekulacji na ten temat opiera się o wątpliwe dane. Głośnym

echem odbiła się relacja z Gazy, przedstawiona w New Yorkerze przez Lawrence'a Wrighta, zgodnie z którą rezydujący w Gazie przywódca Hamasu i premier Ismail Hanija należy do „umiarkowanych” i „wypowiadał się na rzecz negocjowania długotrwałego rozejmu z Izraelem”, podczas gdy rezydujący w Damaszku szef biura politycznego Hamasu Chaled Meszal to „twardogłowy”, „skłonny raczej do podejmowania radykalnych, destabilizujących działań”. Szkopuł w tym, że ów „twardogłowy” Meszal wielokrotnie wzywał do osiągnięcia z Izraelem rozwiązania dyplomatycznego.

Podczas każdej z rozmów z członkami Hamasu powtarzałem wciąż to samo: obecna dyplomatyczna postawa tego ugrupowania zgodna jest ze stanowiskiem reprezentatywnych organizacji politycznych, szanowanych instancji sądowych i głównych organizacji praw człowieka. Wielu członków Hamasu wyglądało na szczerze zdziwionych, gdy przywoływałem im jak z automatu kolejne „propalestyńskie” stanowiska owych mainstreamowych ciał. Zgodnie z przedstawionym przeze mnie rozumowaniem – mam nadzieję, że słusznym – Hamas powinien budować swą platformę polityczną posługując się tym samym językiem, jakim posługują się te podmioty, co ułatwi wykorzystanie izolacji dyplomatycznej Izraela i uderzenie w jego miękkie podbrzusze. Hamas musi kłaść największy nacisk na to, że to Izrael pozostaje czarną owcą wśród społeczności międzynarodowej i przeszkodą dla pokoju. Chodzi o to byśmy nie słyszeli, że „Hamas stwierdza” lecz „Zgromadzenie Ogólne ONZ stwierdza w rezolucji przyjętej 160 głosami”. Nie „Hamas stwierdza”, lecz „Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości stwierdza”. Nie „Hamas stwierdza”, lecz „Human Rights Watch i Amnesty International stwierdzają”.

Moi rozmówcy sprawiali wrażenie poważnych i gotowych wysłuchać, co kto ma do powiedzenia. Nie popsuka im humoru nawet szefowa naszej delegacji, wedle której w celu poprawy wizerunku Hamasu na Zachodzie powinni zgolić te „okropne brody”. Hamas marzył o powtórce zwycięstwa, które odniósł w

2006 r. Hezbollah, lecz po masakrze przyjął do wiadomości, że nie sposób pokonać Izraela, ostrzeliwując go z petard i sztucznych ogni. W chwili gdy opuszczałem Gazę, do Kairu przylatywał prezydent Barack Obama, który wygłosił tam swe przełomowe przemówienie. Hamas wystosował doń list (patrz załącznik), w którym wykorzystał też informacje uzyskane dzięki naszym rozmowom.

Młodzi bojownicy Hamasu byli przewodnikami naszej delegacji w trakcie jej pobytu w Gazie. Gdy w końcu rozstawaliśmy się, byłem poruszony i musiałem publicznie stwierdzić, że w moim przekonaniu żaden z nich nie zasłużył na śmierć, którą usiłował im zadać Izrael. Jestem świadomy, że „prawa wojny” czynią z nich „uprawnione” cele wojskowe. Jednakże w świecie, który pozostawałby racjonalny, wyrażenie „prawa wojny” znaczyłoby tyle, co „licencja na kanibalizm”. Zapewne gdyby nie te prawa, to w gwałtownych konfliktach ginęłoby jeszcze więcej ludzi i dochodziłoby do jeszcze większych zniszczeń – lecz prawdą jest również, że mimo pretensji do neutralności, przesłaniają one prawdy fundamentalne. Ci młodzi ludzie – czy to kierowani przekonaniem, frustracją czy też przeżytą katorgą – postanowili bronić swej ojczyzny przed uzbrojonymi obcymi hordami. Gdybym w swych najlepszych latach żył w Gazie i gdybym zdołał wykazać się odwagą, mógłbym łatwo zostać jednym z nich.

Autor: Norman Finkelstein

Tłumaczenie: Paweł Michał Bartolik

Fragment książki: „Gaza: o jedną masakerę za daleko”

Źródło: [Internacjonalista](#)